

Widok był dobry: Archanioł Gabriel dął w puzon. Idąc bulwarem wzdłuż skutej lodem Wisły, przystawałem co jakiś czas niby w niespokojnym oczekiwaniu, niejasno nadciągającego, upragnionego ładu, który w końcu musiał nastać. Czułem, że pomiędzy mną a Stwórcą istnieją same nierozwiązane sprawy; żyją swoim życiem, tworząc swój własny, niezależny świat, na który nie mam żadnego wpływu. A przecież miałem się za właściciela, pana swojego życia. Wyobrażałem sobie, że oto Prawda Absolutna, snując się na jednej z tych arktycznych kier, opływających świat poniżej, w nurcie rzeki, dobija właśnie do brzegu, po czym ja, wśród opadających płatków wiosennego śniegu, bijąc pokłony falom i wirom, i sumom, wskakuję na jej pokład i odpływamy. I porzucone są raz na zawsze wszelkie złudzenia.

W rozpiętym płaszczu, wystawiony na wiatr i z lodowatym podmuchem na karku, czułem, że tak może być nad brzegiem ziemskiej skorupy.

Głęboka depresja pod mostem. Chaos igra w bladym świetle dnia, w konarach demonicznych drzew. Grzeszne kształty nawiedzone przez śmierć i zimę. Śmierć... Kto za tym wszystkim stoi?

Nie mogę pozbierać myśli. Błądząc wzrokiem po skutej lodem rzece, szukając oznak życia w огоłoconych z liści drzewach, w cały ten Małpi Gaj, poprzecinany nitkami autostrad i torów kolejowych, naszpikowany drutami, gdzie niewyraźnie, jakby we śnie, mającą mury średniowiecznego miasta, muszę sprawiać wrażenie galernika, którego los siłą rzeczy zmusił do wielomiesięcznej wyprawy. W tym pustym i ponurym pejzażu, wyrwana z mrocznej karty pamięci, z kurzawy przeszłości, niczym zjawa staje przede mną postać dziewczyny, z którą poznał mnie Piasecki. To z zasypanej śniegiem ulicy, w godzinach szczytu, zbaczając ze swojego kursu i stukając się drinkami, które wynieśliśmy z jakiegoś lokalu, wpadamy razem z tumanem białego pyłu do wnętrza jednej z kamienic na starówce i oto jesteśmy w hotelowym hallu, gdzie zza kontuaru, uśmiechnięta od ucha do ucha, wita nas recepcjonistka w furakerze jak u stewardessy.

- W czym mogę pomóc?

Piasecki strzepuje z siebie ostatnie płatki śniegu i rusza za jej głosem. Zamienia kilka słów, po których odwraca się i daje znaki, popychające mnie w stronę schodów. Wdrapujemy się na piętro, zostawiając w tyle recepcję. Wchodzimy na zaciemniony korytarz. Na prawo lśnią olbrzymie wrota niby dyptyk na końcu tunelu.

I tam ją zobaczyłem.

Siedziała za biurkiem w przestronnej sali jak jakiś szeryf i popalała cygaro. Miała bujne, rude loki do ramion i cała była w świecidełkach. Przywitała nas ciepło i sztucznie. W drodze do pokoju, po jakimś kwadransie, podczas którego Piasecki targował się jak żyd, gdzieś na bocznych, krętych schodach,

wsunąłem dłoń w jej majtki i zaintonowałem dziecinadę z Mickiewicza. Przyjęła to z wyrafinowanym uśmiechem, jakby słyszała coś w obcym języku.

- Dodatki płatne ekstra - zaznaczyła.

Znaleźliśmy się w wąskim pomieszczeniu, w którym były jedynie łóżko i ściany. W oknie malował się mrok z ulicy.

Na poddaszu gruchały gołębie.

I wtedy zrozumiałeś gdzie jesteś i po co tu jesteś. Zobaczyłeś siebie w szybie okna i wszystko to, co w życiu ci uciekło, co przegrałeś i straciłeś dawno temu w ruletce świata, zamajaczyło jak smuga światła z pobliskiej latarni. To jak złapała cię za rękę i podholowała na skraj łóżka, sprawiło, że nieco otrzeźwiałeś. Machinalnie obejrzałeś się za czymś do picia.

- Przez czterdzieści minut będę w tobie zakochana - wyszeptała ci w ucho.

Przez chwilę stajecie naprzeciw siebie. Jeździ dłońmi po twojej koszuli, patrzy ci w oczy. Mierzy cię. A kiedy krew uderza do głowy i całym sobą pragniesz zagarnąć to filigranowe ciało i poczuć jego kruchość, a potem pewnie rzucić na łóżko i wytrzepać jak świąteczny dywan, zwinnie wywija się i znika w łazience.

- Rozbieraj się! - Rzuca zza zamkniętych drzwi.

Zostajesz sam. Przdionki uszu wypełnia szum odkręconej wody z kranu. Zaraz sobie poużywasz. Do woli. Z rzeczy które z siebie zrzucasz, powstaje mały stosik, skłębiony pod ścianą. Kładziesz się na łóżko i czekasz.

Gołębie gruchają.

Wtedy ona pojawia się w drzwiach. Stawia szybko kilka kroków w stronę okna, stuka szpilkami, pochyla nad torebką, wyjmując kondomy, krem do nawilżania i rzuca to na wyrko, obok ciebie. Jeszcze szybkie spojrzenie w lusterko i już zrzuca szlafrok, i siada przy tobie. Kładzie dłoń na twoim udzie i sunie palcami w górę. Perfekcyjna w gestach i oszczędna w słowach. Dobiera się do ciebie jak do byka, którego należy umiejętnie wydoić, by zasłużyć na śniadanie. Przez czterdzieści minut będzie twoją dziewczyną. Przyglądasz się jak jej rudoloka głowa faluje, przyczajona nad twoim ptakiem. Jest jak rdzawe, udające namiętność, jezioro, które w jednej chwili ma przypływ i odpływ. Przed oczami rozpościera się sielankowy obrazek. Leniwie rozkołysany tyłek, zakotwiczony w mistycznej zatoce burdelu, skierowany w stronę

lampy na suficie, gotowy na wszystko, co zaproponują. Poleruje, pieści i ustawia rzeczy w pion. Cmoka przy tym i wzdycha. Potem dosiada cię okrakiem. Trzymasz ją za pośladki, mocno, żeby nie odfrunęła po wielkim cygarze, które niedawno paliła.

O tak, rozlega się po pokoju, o tak, stara śpiewka, ale masz długiego, och, och...

I nagle, gdy tak wygina się i pojękuje z przymrużonymi powiekami, za którymi igrają zielone, wyrachowane gałki, dochodzi do ciebie, że to jakieś kosmopolityczne przedsięwzięcie. Ta istota, uwikłana we wszystko, co przeżyła na swojej drodze, objawia się jako skrywana latami tajemnica wielu kobiet i mężczyzn. Kocioł wszystkiego, w czym brała udział jej dusza. Jest nosicielką słów wypowiedzianych w skrytości przed światem, słów, które gdzie indziej nigdy nie zostałyby wypowiedziane. Jej oczy widziały obrazy, które inni mogą podziwiać jedynie w galerii sztuki lub w kinie. Jest nosicielką słów, kształtów i zdarzeń, za którymi ujadają psy spuszczone z łańcucha. Ocierając się o nią, ocierasz się o Boga. Dotykając jej, dotykasz światów, które stworzył, dla własnej rozrywki. Wasze ciała, zaprzyjaźnione w głębokiej ignorancji, skręcają się jak witki bluszczu. Z głową między podrygującymi piersiami, zostajesz wpłątany w kolejną nieskończoność, płatną z góry. Nowa konstelacja z mlecznym wytryskiem na mecie. Jej pragnieniem, zsynchronizowanym z pragnieniem Wielkiego Mutanta Pytona, który nigdy nie kłamie, jest tańczyć na szczycie czynnego wulkanu i myślisz, że żyje tylko wtedy, gdy tańczy.

Wyszedłeś z burdelu. Kiedy tak maszerowałeś między księżycem a skrzypiącymi płatkami śniegu roznosił się zapach cipy i perfum, które z niej zlizaleś.

Gdzie jesteś? Co porabiasz?

Zimno. Nie mogę odzyskać myśli. Powietrze przesyczone wszystkim, czego nie chcę. Siedzę tu, na bezludnej wyspie, między dwoma mostami, zarzuconymi nad wodą, wpatrzony w Małpi Gaj, w centrum miasta i myślę o kurwie. Czekam. W tym momencie kątem oka dostrzegam jakąś zamazaną sylwetkę. Ktoś wyłania się spod kolejowego mostu podczas gdy długa gąsienica towarowego wypływa z północy i turla się z łoskotem przeszywając dolinę. Wygląda to tak, jakby wyskoczył z jednego z wagonów i idzie w moim kierunku. W dłoni ma kanapkę. Co jakiś czas bierze gryza. Przeżuwa, spoglądając na Wisłę, przez ramię. Jest tuż, tuż.

- Psia pogoda - wita się. I rozgląda po okolicy z obrzydzeniem, jakby całą siłą starał się odepchnąć to, na co patrzy.

Prowadzi mnie do knajpy, o istnieniu której nie mam bladego pojęcia. Jednej z tych do których schodzi się po wąskich schodach. Siadam przy stoliku. Piasecki zamawia piwo.

- Jestem przybity - mówi gdy wraca z pokalami - Magda wróciła.

Co za nowina! Magda, jego żona, wróciła po kilkutygodniowym rozstaniu, po nocy wypełnionej przekleństwami i rozbitym szkłem na podłodze, zapewne z córką.

- Zdrowie pięknookiej i jej małej pociechy - wznoszę toast.

- Tak. Wróciła z Igą i mieszkamy sobie jak święta trójca - mówi przeciągając wzrokiem po ścianach spelunki. - Wszystko mnie wkurwia - dodaje.

Rzeczywiście wygląda na przybitego do krzyża. Nie jest do końca pewien czy jego córka jest rzeczywiście jego. Często schodzi do garażu, tak bardzo tęskni za samotnością. Najlepiej, dla świętego spokoju, pozabijałby wszystkich. Jego mieszkanie wypełnia ostatnio krzyk. Nie może spać, nie może jeść, nie może tworzyć. Przez to wszystko załapał wirusa obstrukcji. Wczoraj cały dzień spędził w toalecie, kontemplując.

- Gdyby w ubikacji, podczas głębokich rozmyślań - mówi - zjawiała się szwedzka czy norweska księżniczka, wiesz, ta cycata blondynka - pokazuje jak cycata - z niewinną buzią i zaczęła szorować wannę, nawet nie spojrziałbym w jej stronę.

A wszystko dlatego bo jego wizje i plany legły w gruzach. I nijak mają się do otaczającej go w ostatnich dniach rzeczywistości. Kto by się spodziewał, że jego żonie strzeli coś do głowy i wróci. Prawie o niej zapomniał. Zaczął snuć plany. Tymczasem jego świat przestał być jego. Bujną wyobraźnię, którą się sycił, zastąpił zgrzyt głośno wykrzykiwanych poleceń i zachcianek dziecka i kobiety. Nie sposób wdrożyć w życie pomysłów, artystycznych wizji, wypełniać pięciolinii, gdy po domu krążą obce istoty, mające się za twoją rodzinę. Całymi dniami przesiaduje w garażu albo na kłocie i rozmyśla jak się ich pozbyć. Układa trucicielskie plany. Z zazdrością ściga wzrokiem psy i suki, szwendające się z nosem przy ziemi po ulicy.

- Niektóre z nich - marzy - mają własne budy z małym otworem na świat, przez który się wślizgują, by pożyć w ciszy, kiedy najdzie je na ciszę ochota.

Do tego ta dziewczynka, którą mu wszyscy wciskają.

- Nie wiem jak tę małą pizdę traktować - przyznaje i bierze sporego łyka.

Głośno beka.

O badaniach nie ma mowy. To nie na jego głowę.

- Gdybym wspomniał o tym Magdzie, płaczu i krzyku nie byłoby końca. Jej starzy ukręciliby mi łeb. A najlepsza byłaby śpiewka: " Nie ufasz mi? Po wszystkich świństwach, które ci przebaczyłam?"

Wydyma wargi i naśladuje głos kobiety. Przybiera żalospną minę, na widok której odrzuca mnie.

- Cholera wie, co robi, z kim przebywa, kiedy się żremy i kiedy znika na kilka tygodni, zatrzaskując drzwi, wyłączając telefon. Kto odwiedza ją w tej wielkiej willi, w której razem z mamusią knują intrygi. Za chuja jej nie ufam. Za chuja!- grzmoci pięścią w stół. - A ta mała jest jakaś pierdolnięta... Pamiętasz numer jaki odstawiała pod Garnizonowym?

Którego dnia, włócząc się bez celu, spotykam Piaseckiego, jego niby córkę, Igę i Jeremiasza na wąskiej, zacięionej uliczce na mieście. Jest jasny dzień. Słońce rozlewa się po ulicach. Siadamy w cieniu drzewa na tyłach kościoła na placu Świętej Katarzyny i otwieramy piwo. Właśnie trwa msza; kazania, modlitwy, śpiewy, wypływają przez zakrystię. Jakiś ptak buszuje w gałęziach. Jasnozielone listki drzew drgają radośnie na tle błękitu nieba, po którym sunie kilka rozplaszczonych chmur. Jeremiasz sypie kawałami, zanosimy się śmiechem, a mała Iga bryka wesoło opodał, zającując wielkiego hamburgera. Zwyczajny ruch jak to w niedzielę. Wiosenne słońce rozlewa się po pustych ulicach. Czas przystaje na skrzyżowaniu, gęstnieje na wysokości nieistniejącego już kina, po czym rusza dalej na zielonym świetle, razem z furczącym tramwajem; w oknach niedobitki wpatrzeni w przemijający krajobraz, w reklamowe banery. Lekki wiaterek muska poliki. Żona Piaseckiego, gdzieś w pobliżu, robi kurs prawa jazdy. Nad naszymi głowami lata chmara małych muszek. Jeremiasz nadaje.

W pewnym momencie Piasecki podrywa się jak oparzony i szybko truchta w stronę kościoła. Po drodze sięga po liście. Słysząc płacz dziecka. Patrzę na Jeremiasza, a Jeremiasz patrzy na mnie. Wstajemy. Zastajemy go za rogiem pochylonego nad małą w grymasie płaczu, z majtkami spuszczoneymi do kolan. Z liśćmi w garści dobiera się jej do tyłka. Sapie przy tym jak rozjuszony dzik. Kiedy dostrzega nasze zakłopotanie, ruchem głowy wskazuje w stronę jakby kreciego kopca. Po czym rozgląda się za następną kępą trawy. Słońce stoi wysoko. Głupia sprawa, bo akcja toczy się przed głównym wejściem do kościoła. Z okien kamienic naokoło widać nas jak na dłoni. Piasecki jest wściekły, dokonuje kosmetyki. Iga przeciwnie, rozchmurzyła się na nasz widok. Biega wokół swoimi wielkimi, coraz to uradowanymi żrenicami, z kiecką podwiniętą pod brodę.

W końcu podciąga jej majtki, opuszcza sukienkę.

- Chodźmy stąd - mówi.

Przechodzimy na drugą stronę ulicy, pod daszek przystanku. W tym momencie msza kończy się, ludzie tłumnie wychodzą na zewnątrz. Gestykują pod dzwonnica.

Rozlega się ogólny szmer, zamieszanie zwiastujące anomalię. Tłum kłębi się przed kościołem coraz gę-

ściej. Ci, którzy teraz wychodzą, otaczają nieszczęśników, którzy już upaprali sobie buty. Niektórzy ze zgorzowaną miną podchodzą do opłotka okalającego plac i trą gorliwie podeszwami po jego szczęblach. Inni ustawieni w tyralierze wycierają buty w trawie albo na skraju chodnika. Ciekawscy przystają, oglądają się za nimi. Wymieniają cenne uwagi.

- Patrz pan; tam - wskazuje palcem jakiś turysta czekający na autobus.

Jedni starają się ukryć swoje uśmiešky. Przybierają różne maski. Inni, oburzeni, biegają naokoło aż im berety spadają. Debatają ze znanstwem. Doszukują się prowokacji, wodzą naokoło wzrokiem, trzęsąc się w złości, szukają winnego. Wołają policję, proboszcza, wzywają samego Boga i domagają się śledztwa, wysokich kar, stosu. Jeszcze inni rozglądają się nerwowo jakby za taksówką, zerkają na zegarek, drapią się po głowie, ale pozostają na widowni, czujni na rozwój wypadków. Jeszcze inni, z pobożną miną, mało co zważając na takie przyziemne zjawiska, znikają w bocznych uliczkach. Rozlega się dzwon. Donośne bim i donośne bom. Zza rogu wypływa Magda. Piasecki jej macha. A śledztwo trwa. Cóż to za potwór mógł tak napaskudzić? I to w takim miejscu. Nikt nie dostrzega małej dziewczynki skaczącej beztrosko między płytami chodnika, po drugiej stronie jezdni.

- Do prawdy nie wiem, co począć - główkuje dalej Piasecki pochylony nad stołem w barze, z głową wspartą na dłoni.

Zamawia następną kolejkę. Właściwie ma do mnie interes. Prosi o pomoc. W domu ma małą bitwę. Aż huczy mu w głowie. Chce żebym spędził u niego noc. Pogadamy, wypijemy, pośmiejemy się, obejrzymy film. Magda mnie toleruje. Jak chcę, mogę ją przelecieć. Byle nie na jego oczach.

Kiedy dojeżdżamy, witają nas piszczałki, jasne światło w oknach i muzyka. Za domem strzelają fajerwerki. Ziemia drży jakby kto z armat nadawał.

- Jasna cholera, co się dzieje? - Wścieka się Piasecki.

W środku zabawa; Magda zaprosiła kilka osób, w natłoku osamotnienia. Ich cienie przesuwają się za firanami, migrując między pomieszczeniami niczym kilka ogromnych ptaków. Wchodzimy do środka. Piasecki prowadzi.

W korytarzu mijamy ściskającą się w mroku pod ścianą parkę. Z salonu wychodzi Magda. Rzuca się na szyję Piaseckiego i wycelowuje jakby nie widziała go latami. Wygląda to na międzynarodowy dzień przytulania. Kiedy już mnie dostrzega, wita się jak ze starym, wiernym psiakiem. Wpadamy sobie w objęcia. Wtem jej szpony zaciskają się na moich jądrach. Z bólu wyję i wyginam się jak wąż. Piasecki obok wybucha śmiechem.

- Dobry chwyt - woła z uznaniem.

W tym momencie zza rogu wybiega mała Iga. Leci na złamanie karku. Jakiś metr przede mną unosi ręce, zamyka oczy i odbija się od ziemi. Z przerażeniem i obolałymi jądrami witam ją na swoim garbie, a ona w zamian wiesza się u szyi i gryzie mnie w nos. Przewracamy się. Magda bije brawo, jest zachwycona. Widzę stopy jakichś ludzi. Ktoś pomaga mi wstać, wyciąga rękę.

- Widzisz - mówi Piasecki- mówiłem ci, że cię lubią. Strzepuje błoto z mojego płaszcza zebrane z posadki, klepie po plecach, zadowolony jakby właśnie ubił dobry interes. Później się odwraca i człapie w stronę kuchni ze spuszczoną głową.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Josef Hosek, dodano 05.10.2016 19:16

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.